

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



SKRZYDLACI LUDZIE Z NAZCA
i inne reportaże
z Ameryki Łacińskiej

ROMAN WARSZEWSKI

SKRZYDLACI LUDZIE Z NAZCA
i inne reportaże z Ameryki Łacińskiej



Tower Press
Gdańsk 2000

Projekt okładki
Dariusz Szmidt

Przedmowa
Marek Rymuszko

Ilustracje czarno-białe
ze s. 33, 45, 49, 56, 79, 88 – Roman Warszawski
ze s. 13, 15, 17, 19, 27, 31, 71, 93, 97, 99, 103, 107, 108, 111, 120, 124,
131, 144, 148 – archiwum Autora

Zdjęcia kolorowe
1-32 i 34-41 – Roman Warszawski
33 – archiwum Autora

Na pierwszej stronie okładki wykorzystano zdjęcie
Mylene d'Auriol

Na czwartej stronie okładki wykorzystano zdjęcie
Macieja Kostuna

Opracowanie graficzne
Pracownia Graficzna „Linus”

Skład i łamanie
Jerzy M. Kołtuniak

Redakcja i korekta
Zespół

Wydanie pierwsze

© Copyright by Roman Warszawski & Tower Press
Gdańsk 2000

ISBN 83-87342-21-1



Tower Press
Gdańsk 2000

PRZEDMOWA

Niech nikogo nie zmyli tytuł książki Romana Warszawskiego, którą właśnie bierze do ręki. Dziesięć reportaży, jakie składają się na *Skrzydlatych ludzi z Nazca* tworzy bowiem – śmiem twierdzić – jedną z najważniejszych współcześnie książek faktologicznych dotyczących Ameryki Południowej: jej historii i obecnego oblicza, tajemnic przeszłości i dzisiejszych konfliktów, dramatycznych zdarzeń, jakie często wyznaczają rytm życia tego ciągle mało poznanego regionu świata – i spowijającej go od tysięcy lat magii. Tak, właśnie magii, gdyż nie ma bodaj drugiego kontynentu, z którym wiązałyby się tak wielka liczba zagadek oraz pytań bez odpowiedzi.

Zmierzenie się reporterskim piórem z fenomenologią tego pod każdym względem szczególnego miejsca na Ziemi było możliwe jedynie przy spełnieniu dwóch warunków: dogłębnej znajomości jego realiów oraz biegłego posługiwania się jednym z lokalnych języków. W przeciwnym bowiem razie można tam w mgnieniu oka stracić nie tylko orientację i pieniądze, lecz nierzadko również – i to bynajmniej nie w symbolicznym, a dosłownym znaczeniu – głowę.

Roman Warszawski obu warunkom sprostał. Amerykę Południową, a zwłaszcza Peru i Boliwię penetruje nieustannie już od 17 lat, znając zaś hiszpański oraz indiański

język keczua – zyskał niepowtarzalną szansę samodzielnego wynajdywania klucza do zdarzeń, jakie go frapują. Kluczem tym okazało się także cechujące go „od zawsze” zainteresowanie historią starych kultur Ameryki Łacińskiej oraz konfliktami społecznymi i politycznymi, które nią raz po raz wstrząsają.

Pierwszym dojrzałym owocem tych poszukiwań była wydana przez R. Warszawskiego w połowie lat osiemdziesiątych książka *Pokażcie mi brzuch terrorystki*, stanowiąca chłodny, ale i zdumiewająco dogłębny zapis ówczesnych zmagañ władz Peru z lewackimi ruchami zbrojnymi, co chwilami przybierało postać regularnej wojny domowej. Echa tamtych doświadczeń i wędrówek odnajdujemy zresztą również w obecnym tomie, towarzysząc np. autorowi w jego po stokroć niebezpiecznej – i podjętej wyłącznie na własne ryzyko – eskapadzie do zapadłej wioski w peruwiańskim departamencie Ayacucho, gdzie, jak sam pisze, *niczym w kropli wody odbijał się cały wszechświat szalejący dookoła terrorystycznej przemocy* i gdzie niedługo wcześniej doszło do masakry grupy dziennikarzy.

Nie inaczej jest, gdy reporter podąża śladami straceńczej marszruty Ernesto Che Guevary, na zabiciu którego – od początku draży go takie podejrzenie – zależało nie tylko boliwijskim wojskowym i przekupionym przez nich chłopom, lecz także hawańskim towarzyszom legendarnego rewolucjonisty, obawiającym się, że mit Che niepostrzeżenie przyćmi ich własny wizerunek i zachwieje dyktaturą, za pomocą której Castro i jego ludzie od 40 już lat rządzą niepodzielnie Kubą. Bliższe zainteresowanie tym właśnie wątkiem spowoduje zresztą, iż Warszawski zostanie uznany na Kubie za persona non grata, a zdenerwowanie miejscowej bezpieki sprawi, że przez pomyłkę zostanie przymusowo wydalony samolotem lecącym nie do Europy, lecz Kolumbii. To z kolei umożliwi mu bliższe przyjrzenie się problemowi tamtejszej długoletniej *Wojny*

o *kokainę*, uwikłanej – o czym nieczęsto się wspomina – w niezwykle skomplikowane konteksty ekonomiczne i społeczne (to jeden z najlepszych reportaży na ten temat, jakie kiedykolwiek czytałem).

Konsekwentne podążanie przez autora własnymi ścieżkami, wyznaczanymi często przez granicę śmiertelnego ryzyka, w ostatecznym rozrachunku zaowocowało tak drapieżnymi, a w pewnym sensie – nie waham się użyć tego określenia – olśniewającymi reportażami, jak obecne w tej książce *Osiem tez, osiem gwoździ, Zakątek śmierci* oraz *Czy przechodził tędy Che*. I nawet, kiedy Warszawski drąży zagadki zamierzczałej historii, nieodmiennie splatające się z problemami współczesnymi regionu – nigdy nie podąża utartymi szlakami. Do obleganego przez turystów z całego świata Machu Picchu – jednego z najbardziej magicznych miejsc na świecie, nie pojedzie, jak inni, wygodnym pociągiem, lecz przywędruje tam na własnych nogach, przemierzając kilkadziesiąt kilometrów przez góry. Od siebie dodam, że zapis wysiłku towarzyszącego pokonywaniu tej drogi to jedna z najlepszych sekwencji pisarskich wieńczących mękę górskich wypraw, o jakich można przeczytać w licznych pamiętnikach. Podobnie będzie wówczas, gdy w 1998 roku pod patronatem miesięcznika „Nieznany Świat” Roman zorganizuje ekspedycję na tajemniczy peruwiański płaskowyż Marcahuasi, o czym opowiada już inna jego książka oraz nakręcony przezeń (razem ze Stanisławą Grzelczak) w tej – wręcz buzującej niepowседневną magią strefie – film.

W gruncie rzeczy nie ma więc większego znaczenia, czy autor odbywa swoje peregrynacje w strefie jeziora Titicaca, po wypalonej słońcem pustyni Nazca czy boliwijskich bezdrożach, w których błocie pogrzebane zostały ideały jeszcze jednej niechcianej rewolucji z importu; rewolucji jaka miała uszczęśliwić miliony ludzi, a w rzeczywistości zgutowała śmierć jej posłańcom. Odwiedzając kolumbij-

ską wioskę Aracataca – miejsce urodzin noblisty Gabriela Garcii Marqueza opisane przezeń w słynnych na cały świat *Stu latach samotności* – autor dokona zarazem rzeczy zdaloby się niemożliwej, ukazując, iż niczym w Kischowskim *lustrze na społecznym gościńcu* odbijają się tam historyczne i współczesne dylematy Ameryki Południowej oraz zamieszkujących ją ludzi. A wszystko to zostało zakomponowane w formie zdumiewająco klarownej, dojrzałej pisarsko opowieści, w której odkrywczość wielu spostrzeżeń i refleksji stanowi konsekwencję dogłębnej znajomości tematów oraz spraw penetrowanych reporterskim piórem.

Nigdy nie ukrywałem, że uważam Romana Warszawskiego za jednego z najwybitniejszych współcześnie polskich reporterów. Byłem o tym przekonany na długo przedtem, nim (razem z Grzegorzem Rybińskim) wydał on swoją głośną *Vilcacore*, która *leczy raka* i jej późniejszą kontynuację „*Bóg nam zesłał vilcacore*”. Jestem również szczególnie rad, że wiele południowoamerykańskich reportaży tego autora miało swoją premierę w miesięczniku „Nieznany Świat”, którym kieruję i który od lat, dzięki Romanowi, najsmielej spośród wszystkich polskich czasopism uchyla zasłonę spowijającą nieprzeliczone tajemnice Ameryki Południowej. *Skrzydłaci ludzie z Nazca* to, w moim przekonaniu, najważniejsza polska książka reporterska, próbująca opisać i zarazem zrozumieć tamtejszy ciągle tak jeszcze mało znany, a pod wieloma względami również *zaginiony świat*. Mottem dla niej mogłyby być słowa Krishnamurtiego, który powiedział kiedyś, że *Prawda jest bezdrożem bez map i przewodników*.

Marek Rymuszko

Autor przedmowy jest wielokrotnie nagradzanym reporterem i prezesem Stowarzyszenia Krajowy Klub Reportażu.

Jak to nazwać?
Pechem?
Nadmiarem pośpiechu?
Złośliwością rzeczy martwych?
Naprawdę – w gorszym momencie stać się TO nie mogło!

Jak zwykle przed wyjazdem, wszystko się nagle spiętrzyło. Pełno spraw, które należało pozałatwiać (każda z nich oczywiście nie cierpi zwłoki!); cała kartka z numerami telefonów, które koniecznie – jeszcze przed odlotem – trzeba wykonać. Jakieś niedokończone zakupy. Notatki, które należy poukładać w odpowiedniej kolejności (bo mogą przydać się w drodze). A ekwipunek nie do końca skompletowany. A nie wiadomo, czy są spakowane wszystkie mapy, szkice, plany, lekarstwa, śledzie do namiotów, zapasowe guziki, moskitiery, palniki, butle gazowe, fińskie noże, maczety (choć te zawsze najlepiej kupić na miejscu), haczyki na ryby...

Co jeszcze?

A latarki i baterie? A sztucce? Żywność liofilizowana?

A kremy chroniące przed słońcem i mrozem? Fotochromowe okulary?

Godzina wyjazdu się zbliża. My – zanim dotrzemy w gąszcz dżungli – najpierw stoimy po kolana w gąszczu nieskończonych spraw i niedopakowanych rzeczy. A czasu już naprawdę na nic nie ma. Nawet minuty! Tam, gdzieś daleko, za domami, nasz samolot już grzeje silniki. A my? My tkwimy w tym najgorszym z gąszczów i tylko taksówka, wezwana przed momentem, która ma nas zawieźć na terminal, czeka przed domem i z niedowierzaniem, że jeszcze jesteśmy niegotowi, od czasu do czasu niecierpliwi się klaksonem.

Właśnie wtedy TO się stało! W takim momencie!

Trzask, prask, łubudu!!!!

CO TO TAKIEGO?!

Jeden fałszywy ruch, jedno zbyt mocne pociągnięcie! Bo właśnie miałem po raz ostatni zaciągnąć rzemienie plecaka...

Najpierw nie wiem, co się dzieje – jakiś kataklizm, jakieś trzęsienie ziemi?, a potem już wszystko jasne: popchnięta moim łokciem, na podłogę, na to wszystko, co na niej stało, jak długa, jak ciężka, jak przeładowana, spadła półka z rekwizytami przywiezionymi z blisko pół setki podróży...

Półka jeszcze przed chwilą zawieszona na ścianie!

Teraz na podłodze!

Tu jakieś książki, tam czasopisma z reportażami, tu znów skrawki tkanin odwiniete z podniebnych mumii; czapka *pasamontaña*¹, której używają terroryści; jakaś czara, jakaś maska, indiańska dmuchawka ze strzałami unurzanyymi w kurarze, terakotowe figurki przedstawiające skrzydlatych ludzi z Nazca...

Jak to teraz z sensem w takim pośpiechu poukładać?

¹ pasamontaña – (hiszp.) czapka kominiarka.

SKRZYDLACI LUDZIE Z NAZCA

– Zobacz – mówi Jorge i pokazuje przed siebie. W pierwszym momencie nie wiem, o czym mówi, niczego nie dostrzegam. Mój wzrok najpierw musi się przyzwyczaić do otwierającej się przede mną panoramy. Dopiero po chwili, na ciemnym, lekko fioletowym tle, zaczynam rozróżniać nieco jaśniejsze, geometryczne kształty. Nie mogę mieć już wątpliwości. Ależ tak – to ONE! Słynne, rozświetlone na całym świecie przez Ericha von Dänikena linie z Nazca!

Nazca to niewielkie miasteczko, leżące 400 kilometrów na południe od Limy, na przedpolu peruwiańskich Andów. Gdyby nie niezwykle odkrycie – którego w 1939 roku z samolotu dokonał Paul Kosok – nikt poza Peru pewnie by o nim nie słyszał. Bo Nazca na dobrą sprawę to dwie większe ulice, od których – niczym od głównych rzek – odchodzą mniejsze uliczne odpływy; duże targowisko, gdzie można zaopatrzyć się w świeże owoce, oraz kilkanaście hoteli – od luksusowych po takie na każdą kieszeń.

W przeszłości Nazca było centrum wydobycia złota. Cenny kruszec nie występuje tu jednak w postaci samorodków – *nuggetów*, lecz jest bardzo przemieszany z ka-

mieniami. Właśnie dlatego miejscowi opracowali dość oryginalny sposób jego wydobycia – zaczęli rozkruszać okoliczne skały i powstający w ten sposób piasek, jęli przepłukiwać wodą. Następnie mieszaninę wody i piasku odparowywali. Błyszczący nalot, jaki po tym pozostał, to był właśnie żółty metal – złoto.

Obecnie jednak tym tak bardzo pracochłonnym procederem trudni się tu niewielu. Prawdziwa żyła złota znajduje się dziś w Nazca całkiem gdzie indziej. Tutejsze współczesne złoto ma postać szeleszczących dolarów, które ze wszystkich stron świata przywożą do Nazca turyści. Przywożą i zostawiają. Bo Nazca – obok Cuzco, Cajamarki i jeziora Titicaca – mimo swych niepozornych rozmiarów – stało się jednym z najczęściej odwiedzanych miejsc prekolumbijskiej Ameryki.

Paul Kosok, który na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych wykonywał zdjęcia lotnicze nadbrzeżnych rejonów Peru, twierdzi, że swego wiekopomnego odkrycia nigdy by nie dokonał, gdyby nie tutejsze... soczyste owoce. Oznaczają one przepiękną, słoneczną pogodę, która w Nazca panuje przez 350 dni w roku. To natomiast wiąże się z bardzo małą ilością chmur, czyli wspaniałą widocznością i diamentową przejrzystością powietrza. To zaś – z kolei – znaczy, że Amerykanin z lotu ptaka mógł zobaczyć to, co zobaczył.

– *To był jeden z rutynowych lotów* – opowiadał później Kosok w wywiadzie, którego w 1939 roku udzielił dziennikarzowi „The Washington Post”. – *Nic nie zapowiadało, że tego dnia może zdarzyć się coś nadzwyczajnego. Wykonywałem normalne pomiary, a jedyna różnica polegała na tym, że nalotu na interesującą mnie strefę dokonywałem trasą położoną nieco dalej w głębi lądu. Gdyby nie to, spiralnie zwinięty małpi ogon na pewno nie znalazłby się w zasięgu mego wzroku...*



Małpa - naziemny rysunek, który jako pierwszy wypatrzył Paul Kosok

Małpa musiała być ogromna, inaczej z wysokości 2000 metrów nie byłoby jej widać. Jej wizerunek wyryto w ciemnofioletowym podłożu równiny rozciągającej się między miejscowościami Nazca i Palpa; kształty były tak regularne i tak wyraźne, że żadna pomyłka nie wchodziła w rachubę. Nie mógł to być tylko przypadek ani naturalne odkształcenie terenu. To „coś” musiało zostać wykonane ludzką ręką.

Czyją?

W jaki sposób?

W jakim celu?

– Po chwili okazało się jednak, że tam w dole jest nie tylko małpa – kontynuował Kosok. – Nieopodal ujrzałem ogromnego kolibra, którego długość dochodziła do stu, a może nawet dwustu jardów. Obie figury zatopione były w gęszczu linii prostych o różnej szerokości, długości i kącie nachylenia. Niektóre z nich były tak długie, że sięgały poza horyzont.

– Jaka była twoja pierwsza reakcja? – pytał prowadzący wywiad dziennikarz.

– Zawróciłem maszynę – opowiadał Kosok. – Mogło się przecież tak zdarzyć, że padłem ofiarą jakiegoś złudzenia. Ale przy drugim nawrocie nad równinę zobaczyłem to samo, a właściwie jeszcze więcej. Moje oczy już się przyzwyczaiły i stopniowo dostrzegałem teraz jeszcze więcej figur, linii, wzorów, deseni. Wciąż ich przybywało, było coraz więcej i więcej... Wiedziałem, że mam oto przed sobą gigantyczną, prehistoryczną galerię rysunków, w której jeszcze nigdy nie było żadnego Białego...

W ten sposób odkryto największy archeologiczny zabytek świata.

Jego powierzchnia wynosi ponad czterysta kilometrów kwadratowych i jest większa od łącznej powierzchni, którą zajmuje słynny Mur Chiński. Gdyby nie wojna światowa, która wkrótce potem wybuchła i pochłonęła uwagę



Pająk - geoglif odpowiadający na niebie gwiazdozbiorowi Oriona

wszystkich na kilka następnych lat, pewnie już wtedy płaskowyż, a właściwie równinę Nazca, określono by jako ósmy cud świata.

W tej sytuacji na takie określenie naziemne rysunki z okolic Nazca musiały czekać aż do roku 1946.

Wówczas to właśnie miało miejsce drugie odkrycie gigantycznych żłobień na usianej kamieniami pampie. Do Nazca, dosłownie na kraniec świata, przyjechała niemiec-

ka matematyczka – Maria Reiche. Do dziś nie wiadomo, czy był to czysty przypadek, czy też przed wojną słyszała ona o dziwach, jakie z samolotu dostrzegł w tych okolicach Amerykanin Kosok. Niektórzy hotelarze w Nazca w wiele lat później twierdzili, że nie mógł to być tylko zbieg okoliczności, iż tajemnicza Niemka akurat wtedy chciała znaleźć się możliwie jak najdalej od Europy.

Ponoć w czasach Hitlera Maria Reiche zaangażowana była w jakieś supertajne obliczenia, które miały doprowadzić do skonstruowania niemieckiej *Wunderwaffe*. W rezultacie w pierwszych latach po wojnie na Starym Kontynencie usilnie poszukiwali jej Amerykanie. Ona sama na ten temat nigdy nie zabierała głosu. Niechętnie opowiadała też o swojej przeszłości. Twierdziła, że naziemne rysunki urzekły ją do tego stopnia, że postanowiła poświęcić im całe życie.¹

Matematyczka, która z czasem przerodziła się też w astronoma, dotrzymała słowa. Przez kilkadziesiąt lat, najpierw pieszo, a następnie – w miarę jak ubywało jej sił – w specjalnie skonstruowanym dla niej elektrycznym fotelu, pokonywała wzdłuż i wszerz kamienistą równinę. Mierzyła, rysowała, ustalała kąty, odkrywała linie, o których istnieniu przed nią nikomu się nie śniło. Na spalonej słońcem pampie poznała dosłownie każdy kamień i każdą nierówność terenu. Gdy zmarła, pochowano ją na jednej z nich, oddając honory wojskowe. Tego dnia prezydent republiki przysłał list napisany na czerpanym papierze, w którym nadał Marii Reiche order Manco Capaca.

Pierwszy raz byłem w Nazca, gdy Maria Reiche jeszcze żyła. Mieszkała w luksusowym apartamencie w jednym z miejscowych hoteli – Hotel de Turistas. Była wtedy już półślepa i półgłucha i nasza rozmowa co chwilę się rwała. Staruszka ożywała się dopiero wtedy, gdy dialog schodził na tajemnice rysunków.

¹ Hitlerowska przeszłość to najprawdopodobniej krzywdząca dla Marii Reiche plotka, ponieważ uczona przebywała w Peru od 1932 roku.



Maria Reiche przy pracy

– Choć naziemne desenie są czymś wielce oryginalnym, charakterystyczne dla nich motywy występują zarówno na ceramice, jak i na tkaninach, będących wytworem lokalnej kultury z początku naszej ery – opowiadała Maria Reiche. – Rysunki z Nazca nie pojawiają się zatem w próżni, jak chcieliby niektórzy, lecz w kulturowym kontekście. Jedynie ich rozmiar wskazuje na to, iż były one jakimś szczytowym osiągnięciem, pewną kulminacją. Czymś takim jak Sfinks i Wielka Piramida w starożytnym Egipcie.

– Jakie było ich przeznaczenie? – pytałem.

– Był to wenusjański kalendarz – przekonywała. – Dawni mieszkańcy tych ziem wierzyli, że rysując linie, które w perspektywie dotykają łączącego się z horyzontem nieba, przywiązują do ziemi gwiazdy, które co noc ukazują się na nieboskłonie. Dzięki temu odkryli ruch gwiazd wyznaczający następstwo pór roku i wiedzieli, kiedy zaczy-

nać siewy, a kiedy przygotowywać się do rozpoczęcia zbiorów. W tamtych czasach odkrycie to musiało mieć taką samą rangę, jak w wiele stuleci później odkrycie Ameryki.

Czy jednak naprawdę wszystko było aż tak proste?

Dziś coraz mniej naukowców jest skłonnych zgodzić się z tym poglądem. Nie innego zdania jest Jorge – mój przewodnik – z którym stoję teraz na wznoszącym się ponad równinę wzgórzu. Przed sobą mam widok zapierający dech w piersiach. Liczba linii, które już bez wysiłku odróżniam na tle ciemnego płaskowyżu, naprawdę jest trudna do oszacowania. Są wszędzie. Niczym słoneczne promienie rozchodzą się we wszystkich kierunkach...

– Ludzie z Nazca, na długo zanim biały człowiek przybył do Ameryki, musieli umieć latać – opowiada Jorge z przekonaniem. – Bo jak inaczej mogliby z taką precyzją rysować na ogromnej płaszczyźnie? Jak mogliby umieścić tak wiele rysunków na tej największej w świecie tablicy ogłoszeniowej? Przecież z ziemi, z poziomu stojącego człowieka, w ogóle nie widać, że jest tu coś narysowane. Dopiero z odpowiedniej wysokości. Im wyżej się znajdujesz, tym bardziej doceniasz to, na co przed wiekami porwali się starożytni Peruwiańczycy.

Jorge ma rację. Gdy piechur porusza się po płaskowyżu, nie jest w stanie odróżnić naziemnych rysunków od otaczającego je tła. Widzi przed sobą jedynie bezładnie porozrzucane skalne odłamki. Rysunki – wbrew temu, co może wydawać się z pewnej odległości – nie są bowiem żłobieniami. Po prostu ktoś zadał sobie trud, by porozsuwać skalne odłamki zaścielające podłoże. Tam, gdzie kamieni nie ma, grunt ma nieco inny kolor. Z oddali sprawia to takie wrażenie, jakby ktoś ziemię pokrył rysunkami. Genialnie prosta metoda dała genialne rezultaty.

Pierwszy stopień wtajemniczenia to obserwacja rysunków z okalających równinę pagórków. W ten sposób moż-

na zobaczyć, jak jest ich wiele oraz jak ogromną zajmują powierzchnię. Drugi stopień – to spojrzenie na nie z piętnastometrowej wieży, którą za własne pieniądze przed dwudziestu laty kazała zbudować sama Maria Reiche. Ale z wieży też widać stosunkowo niewiele – jeden rysunek, który określa się mianem rąk oraz kilka „pasów startowych” – rysunków ochrzczonej tak przez Ericha von Dänikena. W żadnym wypadku nie można jednak dostrzec rozmachu i piękna przedziwnych deseni. Właśnie dlatego należy wspiąć się na trzeci stopień wtajemniczenia: na rysunki trzeba spojrzeć z lotu ptaka, a raczej z samolotu.

Nieopodal płaskowyżu znajduje się lotnisko, z którego niewielką, sześćoosobową cessną można oderwać się od ziemi i za kilkadziesiąt dolarów odbyć przeszło godzinną podróż ponad liniami. To przeżycie całkiem unikatowe; jedyne w swoim rodzaju. Porównać je można tylko z oglądaniem panoramy Manhattanu z tarasu widokowego okalającego iglicę Empire State Building.

Jeden rysunek przypomina kangura. Inny przedstawia prawie dwustumetrową jaszczurkę. Jest też ośmiornica i kilka mniejszych wyobrażeń ptaków. Jest wspomniany koliber i małpa o ogonie zwiniętym w spiralę oraz gigantyczny pajak. Również – półksiężyc i jedna quasi-ludzka postać przedstawiająca chyba... kosmonautę! Ale nawet gdyby jej nie było, Nazca i tak – zdaniem współwyznawców tego kierunku – byłaby koronnym dowodem na kontakty Ziemi z przybyszami z innych planet.

Tak przynajmniej sądzi Erich von Däniken – szwajcarski hotelarz, który niechcący stał się autorem bestsellerów, a przy okazji prorokiem czegoś w rodzaju nowej wiary.

Däniken – jak wiadomo – twierdzi, że bogowie występujący w wielu mitologiach, są przedstawicielami pozaziemskich cywilizacji, którzy w przeszłości wielokrotnie mieli nawiedzać Ziemię. Płaskowyż Nazca to – jego zda-

niem – ich lądowisko, a rysunki z płaskowyzu mają być czymś w rodzaju drogowskazów: by pozaziemskie pojazdy nie zbłądziły i nie zgubiły drogi doprowadzającej do ogrodu pełnego dojrzałych owoców. Do bezpiecznej bazy.

Do Nazca.

Tym bardziej że w pobliżu znajduje się coś, co niektórzy gotowi są uznać za kosmiczny znak drogowy – słynny Trójkąt z Paracas, zwany także Świecznikiem. Wyrisowany w stromym morskim brzegu, zarówno rozmiarem, jak i techniką wykonania może kojarzyć się z naziemnymi rysunkami z Nazca. Na dodatek, mimo że Paracas dzieli od Nazca 200 kilometrów, Świecznik-Trójkąt bezbłędnie wskazuje kierunek, w jakim znajduje się tajemnicza równina. Czy jest to zbieżność przypadkowa, czy raczej świadectwo jakiegoś większego projektu z przeszłości, na temat przeznaczenia którego możemy dziś już tylko spekulować?

Maria Reiche знаła poglądy Dänikena. Kpiła z nich i twierdziła, że szkoda czasu, żeby w ogóle o nich dyskutować. Tak samo niechętnie odpowiadała tylko na pytania, jakie zadałem na temat jej domniemanej, hitlerowskiej przeszłości. – *Nie będę o tym mówić* – broniła się jak mogła. – *Mam już 90 lat. Jeśli robiłam kiedyś coś niewłaściwego, to tu, w Nazca, znalazłam swój czyściec. Katorgą pod tutejszym słońcem już to odpokutowałam.*

Więcej nie udało się z niej wyciągnąć. Ale i to uważam za spory sukces. Usłyszałem znacznie więcej, niż normalnie była skłonna powiedzieć innym osobom. Te dwa, trzy krótkie zdania – sądzę – warto zachować dla potomności. Na odchodnym przypomniała mi jednak to co najważniejsze.

– *Niech pan nie zapomni napisać* – zawołała z balkonu, gdy byłem już na hotelowym dziedzińcu – *że te rysunki to wenusjański kalendarz.*

– *Jak go jednak rysowano?* – skorzystałem z ostatniej okazji.